Rozmowa z Andrzejem Kowalczykiem, który w drugiej połowie lat. 80. kierował Polskim Ośrodkiem Wydawniczym i biurem KPN we Francji

- Czy docierali do Pana jacyś historycy krajowi?

- Tak, był ktoś z radia. Jego interesowały ruchy niepodległościowe na emigracji. Po zakończeniu II wojny światowej zawiązała się organizacja niepodległościowa w Szwajcarii, założona przez polskich żołnierzy, którzy byli tam internowani w czasie wojny. Przekazałem mu pewne materiały, ale z tego nic nie wyszło. Była też Telewizja Polska. Nagrali reportaż ze mną i przesłali potem kasetę z tym nagraniem. Ale oni interesowali się z kolei środowiskami niepodległościowymi we Francji. To były takie środowiska lamentujące, tzn. zbierające się w niedziele w kościele i śpiewający różne pieśni, które miały skłonić Pana Boga, aby nam oddał wolną Ojczyznę. I to w zasadzie się na tym kończyło. Ale były też zabawne historie, bo oni walczyli między sobą o to, kto pierwszy ma się modlić - taka bitwa o sztandary. Opisał to nawet w swojej powieści p. Majcherczyk, któremu wydałem książkę. Jak był we Francji Leszek Moczulski to oni zabiegali o to, aby go zaprosić na północ Francji na spotkanie z tymi środowiskami. Leszek tam pojechał razem ze mną (zawiozłem go tam) i był bardzo wzruszony, bo to są zacne postaci, nawet dość znane w historii, związane z rządem londyńskim. Oni bardzo serdecznie przyjęli Leszka na północy [Francji].

- Zacznijmy od początku. Proszę się przedstawić.

- Andrzej Kowalczyk, zamieszkały we Francji od 1981 roku. Urodzony w 1949 roku.

- Czy miał Pan jakieś kontakty z opozycją w kraju?

- Praktycznie od dziecka, bo moja Mama była łączniczką ZWZ. Komuniści wydali nawet na nią wyrok śmierci. Tym, który miał go wykonać był mój Tata. To było dość widowiskowe, bo w związku z tym, że Mama miała postrzał w rękę i wdała się gangrena, leżała już na łożu śmierci, paliły się gromnice a wiejskie kobiety się przy niej modliły. I wtedy przyszła komunistyczna bojówka (bo Tata najpierw był w Batalionach Chłopskich, a potem przeszedł do partyzantki komunistycznej). Moja Babcia powiedziała do nich - "Co wy ją chcecie zabić, jak ona i tak umiera?". Tacie żal się zrobiło młodej i ładnej dziewczyny, która leżała w łóżku. Wrócił i zameldował swojemu przełożonemu, że nie wykonał wyroku, bo ona umiera. Ale ten powiedział, że moja Mama to jest bardzo cwana osoba, kazał mu wrócić i być przy niej przy łóżku, aż ona umrze. Tata wrócił i czuwał przy niej. Lekarz powiedział, że rękę trzeba amputować, żeby ją uratować. Ona się nie zgodziła, bo jak to młoda dziewczyna wolała umrzeć, niż być bez jednej ręki. Pewnej nocy krzyk się zrobił, bo tej nocy ta rana pękła, ropa wypłynęła, rana sama się oczyściła i ona zaczęła zdrowieć. Tata jak siedział tydzień przy łóżku młodej, 18-letniej dziewczyny, to w sercu zaczęło mu coś pikać i tak zostali mężem i żoną. A wyrastałem w takim środowisku, gdzie Mama mi mówiła jedno, a Tata coś zupełnie innego. Ojciec był dobrze ustawiony w tych strukturach, bo był burmistrzem Puław w latach 1951-1953, czyli w latach, gdy ten reżim ostro sobie poczyniał z opozycją. Ojciec mi opowiadał, że w biurku miał dwie szuflady. W jednej miał kałasznikowa, a w drugiej naładowany pistolet. Sekretarka, która siedziała na korytarzu, też miała kałasznikowa na kolanach. Takie to były czasy. Wtedy na obszarze Lubelszczyzny działał "Orlik" - Żołnierz Wyklęty, który sobie dość śmiało poczyniał. Uwolnił z więzienia UBP w Puławach 140 więźniów. A więzienie było strzeżone przez NKWD. Napadli, zastrzelili tych enkwudzistów i uwolnili tych więźniów. W tym czasie nie było żartów. W dzień rządziło UB i NKWD, a kiedy przychodził zmierzch, to ludzie zamykali okna i zaczynali rządzić Żołnierze Niezłomni. Oni przegrali, bo mieli przeciwko sobie ogromny aparat bezpieczeństwa. Moja Mama to komentowała, że kiedy ci żołnierze mieli do dyspozycji tylko las i sprzyjających im ludzi (ale było ich coraz mniej, bo ludzie się bali), to cały ten aparat bezpieki miał do dyspozycji NKWD, Rosjan i wszystkie możliwe środki - nie liczyli się z pieniędzmi. Jak trzeba było kogoś wykończyć, to zjawiał się pułk bezpieczniaków i to robili. Ta walka była nierówna...

- Przepraszam. Idźmy do przodu. Proszę powiedzieć, czy miał Pan jakieś kontakty z

opozycją przed powstaniem Solidarności?

- Jak powstały pierwsze te organizacje niepodległościowe, jak Nina Milewska ogłosiła powstanie KPN-u, natychmiast starałem się nawiązać kontakt. To nie było łatwe, bo o ile KOR nie krył się ze swoją działalnością, to nawiązanie kontaktu z Moczulskim było bardzo trudne.

- A skąd Pan wiedział, że powstała KPN?

- Z Wolnej Europy. To było jedyne źródło, które natychmiast informowało. Niestety, nie podawali numeru telefonu, ani adresu. Kontakt z Wolną Europą też był utrudniony i nie można było tam zadzwonić, żeby zapytać, jak spotkać się z Moczulskim.

Jednak te sympatie były i zacząłem tworzyć w Puławach środowisko ludzi, którzy popierali KPN. To byli ludzie, którzy później pracowali w Biuletynie Solidarności. Było kilku chłopaków z IUNG-u (Instytutu Upraw Nawożenia i Gleboznawstwa) ich potem zaangażowaliśmy do pracy przy tym naszym Biuletynie. Trudno mi dzisiaj przypomnieć sobie te nazwiska, bo Mama zawsze mi mówiła: nigdy nie chodź tą samą trasą, nie zapamiętuj nazwisk i numerów telefonów, bo jak cie złapią, to to od ciebie wyciągną. Miałem takie dziwne nawyki. Spotykaliśmy się w klubie PAX-u[1]. Tam był taki młody człowiek, który to prowadził. (Grzegorz Wołczyk, współzałożyciel Biuletynu Solidarność Ziemi Puławskiej). Była kawiarenka i tam się spotykaliśmy przy kawie i dyskutowaliśmy na różne tematy. Żeby nas nie nagrywali, czy nie podsłuchiwali, to słuchaliśmy muzyki big-beatowej z płyt. Pod tym pretekstem też się spotykaliśmy.

- A co z kontaktami z KPN-em?

- Kiedyś przyjechał do Puław człowiek, który się przedstawiał jako Stański. Później jednak nigdy go nie widziałem. On chyba wyemigrował do Szwecji. [Stański nie wyemigrował. W 1982 roku został skazany razem z Moczulskim i Szeremietiewem w I procesie KPN-u, a po wyjściu na wolność w 1984 roku w wyniku amnestii - razem z Szeremietiewem odszedł z KPN-u, zakładając tajny PPN - Polską Partię Niepodległościową.] Gdy rozmawiałem później z Moczulskim, to on o Stańskim wyrażał się ostrożnie. Powiedział, że Stański mógł pracować na dwie strony. Zapytałem go, skąd to wiedział, przecież druga strona nie informowała go o tym, z kim współpracuje. Powiedział, że kiedyś w czasie gdy był przesłuchiwany śledczy dostał telefon i wyszedł z pokoju, zostawiając otwarte akta i Leszek mówił: „Zerknąłem na te akta, skoro nikogo nie było i tam była informacja od Stańskiego - protokół jego przesłuchania. I on dość dużo mówił o KPN-ie". Ja powiedziałem mu, że to jest stara metoda ubecka, a te akta mogły być spreparowane i to nie jest żaden dowód przeciwko Stańskiemu. Leszek się tak zastanowił i powiedział: „Rzeczywiście, tutaj masz rację". Wiadomo było, że SB chciała stworzyć wrażenie, że jeden na drugiego donosi, żeby KPN sobie skakał do oczu. Później im się to zresztą udało... [Historia z aktami pozostawionymi w pokoju przez śledczego wydaje się oczywista i Kowalczyk nie musiał Moczulskiemu mówić o tym, że gdyby taka sytuacja miała miejsce, to byłaby to ewidentna prowokacja ze strony bezpieki. Natomiast Moczulski rozmawiając z Kowalczykiem w 1987 roku w Paryżu mógł wyrażać się o Stańskim ostrożnie z racji tego, że ten odszedł z KPN-u. Nigdy jednak nie słyszałem o tym, aby Moczulski podejrzewał Stańskiego o współpracę z SB, a tym bardziej - aby komukolwiek mówił o takich podejrzeniach wobec Stańskiego. To jest nieprawdopodobne.]

- No dobra, idźmy dalej. Rozumiem, że z tego spotkania ze Stańskim nic nie wyszło.

- Powiedział, że będą jakieś struktury terenowe KPN-u, ale na razie nie będą się ujawniać. [To nie jest prawda. Struktury terenowe KPN przed Sierpniem działały jawnie.] To było krótko przed powstaniem Solidarności.

Gdy powstała Solidarność, to wpadłem na pomysł, aby działać w Solidarności. Założyliśmy taki półpodziemny Biuletyn, który informował o sprawach niepodległościowych i zacząłem w nim pisać[2]. A później zaczęły powstawać Komitety Obrony Więzionych za Przekonania i zaczęliśmy

---

[1] Sam Kowalczyk pracował wtedy w Domu Kultury w Puławach. https://www.represjonowani.pulawy.pl/archiwum/item/18-biuletyn-informacyjny-solidarnosc-ziemi-pulawskiej/18-biuletyn-informacyjny-solidarnosc-ziemi-pulawskiej.html?showall=1&start=31

[2] *„W naszych puławskich warunkach, działanie przywracające wiarę człowieka w skuteczność walki, utrzymanie i rozszerzenie tego co zostało wspólnym wysiłkiem zdobyte, podtrzymanie nadziei w nieprzemijającą wartość odzyskanej*

robić akcje, aby uwolnić więzionych przywódców KPN-u...



Redakcja "Biuletynu Solidarności Ziemi Puławskiej. W środku, w białej koszuli, w okularach Andrzej Kowalczyk. Fot. https://www.represjonowani.pulawy.pl/archiwum/item/18-biuletyn-informacyjny-solidarnosc-ziemi-pulawskiej.htm

- A jak Pan trafił do KOWzaP-u?

- Z Radia Wolna Europa dowiedziałem się, że są zakładane takie komitety i natychmiast na zebraniu Solidarności zaproponowałem, aby założyć taki komitet w Puławach. Wtedy jeden facet z sali wstał (to był Andrzej Kuba, do 2022 roku sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie) i powiedział, że on by chętnie do takiego komitetu wstąpił, ale ponieważ proponuje to ktoś, kto był więziony w areszcie śledczym i do dzisiaj nie jest wyjaśnione za co (chodziło mu o mnie, bo ja byłem trzy miesiące w areszcie śledczym), to on z przestępcami nie chce mieć nic do czynienia. Wtedy zrobił się szum - część ludzi stanęła za mną, a część przeciwko. Ja powiedziałem, że nie muszę być na czele, daję tylko pomysł, żeby taki komitet założyć, jeżeli są głosy przeciwne, to nie muszę być w tym komitecie. Wtedy ten komitet powstał. Nie pamiętam jego składu, ale jest

---

wolności osobistej, a przede wszystkim działalność, która uwalnia od paraliżującego s t r a c h u – pełni grupa ludzi z Biuletynu Informacyjnego NSZZ "Solidarność" Ziemia Puławska. Działalność ta jest znakomita, czego dowodem są bardzo wysokie oceny, jakie wystawiają Biuletynowi – czytelnicy. Nakład tego pisma rozchodzi się w całości błyskawicznie". B. Szewczyk - „Przesłuchania" - Biuletyn Informacyjny Solidarność Ziemi Puławskiej, Nr 38 (46) z 9 VII 1981 r., s.19.

Andrzej Kowalczyk należał do najpłodniejszych autorów Biuletynu - 28 tekstów podpisanych.

Po wielu latach okazało się, że Andrzej Kowalczyk był rezydentem Służby Bezpieczeństwa w redakcji Biuletynu o pseudonimie „Lidka". Wielkiej krzywdy swoją działalnością swoim kolegom z redakcji Biuletynu jednak nie zrobił, gdyż cała działalność wszystkich agend NSZZ Solidarność w tym redakcji Biuletynu Informacyjnego Solidarność Ziemi Puławskiej i tak odbywała się publicznie. https://www.represjonowani.pulawy.pl/historia/item/24-proces-o-myszy-i-niedzwiedzia.html

to opisane w Biuletynie, który wydawałem. Straszyliśmy strajkami. Potem był ogólnopolski strajk, żeby uwolnić więzionych. Jak ogłosiliśmy ten strajk, oni uwolnili z więzienia Szeremietiewa, Stańskiego i jakiegoś trzeciego, a w więzieniu został tylko Moczulski. [*2 czerwca 1981 został zwolniony Krzysztof Bzdyl. Następnie, też w czerwcu 1981 roku zwolnieni zostali wszyscy aresztowani działacze KPN-u, razem z Moczulskim. A po 6 tygodniach Moczulski, Szeremietiew i Stański trafili ponownie do aresztu. Sytuacja, że siedział tylko Moczulski, miała miejsce wcześniej - we wrześniu 1980 roku aresztowano najpierw Moczulskiego. W listopadzie tego roku za kratki trafił Stański, w grudniu aresztowano Bzdyla a Szeremietiewa aresztowano dopiero na początku 1981 roku. I wtedy, na przełomie 1980 i 1981 roku, powstał najpierw centralny KOWzaP w Gdańsku, a potem - na wiosnę 1981 roku - zaczęły powstawać regionalne, a nawet zakładowe KOWzaPy w całym kraju.]*

- A za co Pan był te trzy miesiące w areszcie?

- Byłem w areszcie oficjalnie za działalność na szkodę państwa i narodu polskiego. Podstawą skazania mnie było to, że wprowadzałem na terenie Polski obcą kulturę. Chodziło o dyskoteki, kasyna gry i to, co było zachodnie.

- Pan został skazany?

- Trzymali mnie w areszcie, ale nigdy nie zostałem skazany. Po trzech miesiącach zostałem wypuszczony za kaucją (10 tysięcy złotych - nigdy mi tej kwoty nie zwrócono). Pani prokurator, która mnie oskarżała [Prokurator Sądu Rejonowego w Puławach Gryglicka] w czasie wojny współpracowała z Niemcami i została za to przez partyzantów ostrzyżona na łyso. Ona mściła się na moim ojcu, który był wtedy w partyzantce i prawdopodobnie był w tym oddziale, który wykonał ten częściowy wyrok. Ona później została prokuratorem i wersja mojego ojca była taka, że ona się mści.

- Pan mi opowiadał, że był na zjeździe Solidarności w Gdańsku...

- Tak, byłem delegowany na ten zjazd, jako dziennikarz. Ale byłem tylko na I turze, dlatego, że po I turze dostałem wezwanie na proces za karykatury Breżniewa.

W tym czasie rozniosło się po świecie, że Rosjanie grupują swoje wojska przy granicy w Polsce. Nie wiem, ile było w tym prawdy. Źródłem naszej wiedzy było RWE i to, co sami obserwowaliśmy. Oni zresztą nie musieli wchodzić. Oni już tu byli. M. in. w pobliżu Puław we wsi Pożóg. To była wieś rodzinna mojej Mamy. Ja tam pojechałem do swojej rodziny i oni stwierdzili, że rzeczywiście w pobliskim lesie stoi duża jednostka rosyjska. Rosjanie wieczorem palili ogniska. Chłopaki z tej wsi chodzili do nich. Razem się śmiali się, bawili i opowiadali sobie kawały. Poprosiłem swojego kuzyna, który tam mieszkał - „Idź, dowiedz się, co oni tam robią, z jakiego powodu oni tam stoją". On poszedł i w momencie, jak zaczął im zadawać pytania, to skierowali go do jakiegoś faceta, do jakiegoś „starszyny", który zapytał go - „Kto ty jesteś?". On odpowiedział, że „Sadurski". Ten mu wtedy odpowiedział: „My wiemy o Sadurskim dużo". Mój kuzyn wyraził zdziwienie. Okazało się, że mój dziadek, który był w gwardii przybocznej ostatniego cara Rosji i dostał od cara glejt, że po 15 latach służby może sobie wziąć jakąś wioskę w Polsce i dziadek wziął sobie Sadurki. W 1939 roku i na początku 1940 roku, gdy Rosjanie weszli na tereny obecnego Lubelskiego i przyszli do rodzinnej wsi mojego dziadka (to były Sadurki, koło Nałęczowa[3]), szukali dziadka. Dziadek się zorientował, że to nie przelewki, bo to byli komuniści i uciekł do lasu. Oni spalili posiadłość dziadka. W 1980 roku, gdy mówiono, że Rosjanie wejdą do Polski i oni stacjonowali koło Pożoga, które leżały niedaleko Sadurek, ten „starszyna" przyznał się, że oni mają zanotowane na mapach, że tu jest posiadłość niejakiego Sadurskiego, na którego trzeba strasznie uważać. Ja byłem tym niesłychanie zaskoczony. Niemniej, faktem jest, że Rosjanie byli wtedy [w 1980 roku] w Polsce. [*Kowalczyk myli daty. Zgodnie z pierwotnym układem Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku tereny między Wisłą a Bugiem miały rzeczywiście należeć do Sowietów. Po 17 Września Sowieci przekroczyli Bug, ale nie doszli do Wisły i potem się wycofali na wschód, a*

[3] Wieś Sadurki znajduje się w województwie lubelskim, w powiecie puławskim, w gminie Nałęczów. Ok. 15 km od tej wsi jest wieś Pożóg, która należy do gminy Końskowola.

układ niemiecko-sowiecki o granicach i przyjaźni z 28 września 1939 roku przewidywał, że granica niemiecko-sowiecka będzie na Bugu. Sadurki były zaś pod okupacją niemiecką od 14-15 września 1939 roku aż do 1944 roku. Skoro od połowy września w Sadurkach byli Niemcy, to prawdopodobnie nie było sytuacji, że kilka dni później weszli tam Sowieci.]

W momencie, gdy zaczęła być panika, że Rosjanie wejdą do Polski, postanowiliśmy w tym naszym Biuletynie umieścić rysunek, który przedstawiał krąg dzieci, w środku siedział niedźwiedź, którego twarz przypominała jako żywo Breżniewa (który był bardzo charakterystyczny i miał takie krzaczaste brwi) i pod tym rysunkiem było napisane, że jest stara wersja piosenki: „Stary niedźwiedź mocno śpi, jak się zbudzi to nas zje". Natomiast na ostatniej stronie tego Biuletynu była nowa wersja tej piosenki: „Stary niedźwiedź mocno śpi, jak się zbudzi, to nam pomoże". [*Biuletyn z rysunkiem trafił do ambasady sowieckiej, która przesłała go Rakowskiemu z pretensjami*[4]*. Chodziło o czytelną sugestię, że „pomoc" „niedźwiedzia" będzie oznaczała zjedzenie „myszy"*[5].] To poszło w świat. Ludzie się śmiali. Niemniej tydzień później dostaliśmy wezwanie na przesłuchanie, gdzie powiedziano nam, że towarzysz Breżniew obraził się o ten rysunek. W redakcji wszyscy mówili, że to nie oni. W końcu doszło do mnie. Ja powiedziałem, że ja tu nie widzę żadnego Breżniewa, ale jak przywódca zaprzyjaźnionego państwa się obraził, to ja go przeproszę. Jak przyjmie przeprosiny, to okey, a jak nie, no to trudno. Będziemy się sądzić. Wtedy oni wpadli w zakłopotanie i powiedzieli, że nie mogą tego zaprotokołować. W końcu to zaprotokołowali, ale zostali natychmiast odsunięci. Przejął to Lublin. Dostałem wezwanie, powiedziałem to samo, że mogę się spotkać, kupić na swój koszt półlitrówkę, wypić z towarzyszem (bo mówili, że ten towarzysz za kołnierz nie wylewa) i będziemy kwita. Tam była konsternacja. Zmieniali się prokuratorzy (co chwila ktoś inny protokółował), uśmiechali się pod nosem. Niemniej jednak przyjęli te przeprosiny.

Gdy ja byłem na pierwszej turze zjazdu, z Marią Moczulską ustalaliśmy, co można zrobić dla Leszka, żeby wyszedł z więzienia.

---

[4] Rakowski w swoich „Dziennikach" o tym nie wspomina. Jednak pod datami 26 i 27 czerwca 1981 roku opisuje spotkanie delegacji rządowej z przedstawicielami KKP, na którym rozmawiano m.in. o cenzurze i gazetkach Solidarności (zob. Mieczysław F. Rakowski, *Dzienniki 1979-1981,* Warszawa 2004, s. 449.

[5] *6 lipca 1981 przyszło pierwsze wezwanie, dla Andrzeja Kowalczyka jako świadka w sprawie, potem następne i kolejno członkowie redakcji wędrowali na przesłuchania do słynnego (jeszcze sprzed Sierpnia, kiedy to w Lublinie rozpracowywał wydawnictwa niezależne) kapitana T. Kufla z lubelskiego UB.*
Zainteresowanie okazał także I Sekretarz KW PZPR w Lublinie p. Władysław Kruk. W artykule pt. „Nadzieje ze zjazdem łączone" /Sztandar Ludu, 14 VII 81/ wezwał on członków partii do „zdecydowanego politycznego, ideowego przeciwdziałania" tego rodzaju działalności. Zapewne dlatego akta sprawy znalazły się na biurku A. Gmocha, wiceprokuratora wojewódzkiego.
Dzięki akcji prokuratorskiej rysunki zyskały na popularności. Przedrukował je Informator Zarządu Regionu oraz Biuletyn NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych w Lublinie. W celu poinformowania jak najszerszej opinii publicznej o śmieszności całej sprawy, redakcja zwróciła się do zaprzyjaźnionego „Wolnego Związkowca", biuletynu NSZZ Solidarność Huty Katowice z propozycją przedrukowania tych rysunków. Fakt ten władze wykorzystały jako pretekst do rozpętania histerycznej kampanii propagandowej przeciw Solidarności w Hucie Katowice, a Jacek Cieślicki, redaktor naczelny do swojego wcześniejszego zarzutu zarobił dodatkowy artykuł 283 par. 3 kk, (obraza Leonida B.)
Tymczasem w Lublinie trwały przesłuchania i oto efekt w postaci 6 postanowień o przedstawieniu zarzutów. Otrzymali je: Ireneusz Ostrokólski, Apoloniusz Berbeć, Antoni Faber, Hanna Czekaj i Krzysztof Małagocki. Andrzej Kowalczyk w październiku 1981 wyjechał do Francji [...]
Członkom redakcji zarzucono, przez fakt opublikowania reprodukowanych dalej rysunków i artykułu A. Lekan, popełnienie następujących przestępstw: „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości" i „wyszydzanie Narodu Polskiego" (art. 270 i 271 kk w zw. z art.273 kk, w sumie można oberwać do 10 lat) oraz obrazę Leonida B. (art.283 par 3 kk, do lat 3) W ten sposób prokurator wykazał dużą dozę inwencji, ukazując to, co wielu nawet do głowy by nie przyszło. https://www.represjonowani.pulawy.pl/historia/item/24-proces-o-myszy-i-niedzwiedzia/24-proces-o-myszy-i-niedzwiedzia.html?start=7 [dostęp 20 II 2026 r.].
Ostatecznie przed sądem stanęła tylko jedna osoba - Ireneusz Ostrokólski, którego Sąd Rejonowy w Puławach uniewinnił w lipcu 1983 r. Sąd Wojewódzki w Lublinie w listopadzie 1983 r. uznał jednak go winnymi i skazał na karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. Postępowanie karne przeciwko pozostałym osobom (w tym przeciwko Kowalczykowi) umorzono jeszcze w 1981 r.

W czasie zjazdu zaczęliśmy wydawać takie pismo "Pełzający manipulo"[6]. Jacek Kuroń się z tego cieszył. Bo na zjeździe niektórzy uznali, że zjazd był manipulowany przez KOR. Dziś wiemy, że niektórzy delegaci współpracowali ze Służbą Bezpieczeństwa i działali prawdopodobnie na polecenie tejże. To pismo satyryczne ośmieszało manipulowanie zjazdem.





Kiedy wróciłem z Gdańska, dostałem wezwanie do Lublina, od Służby Bezpieczeństwa. I tam szybko, bez żadnych dyskusji, dostałem paszport.

Bezpieczniakom w Lublinie powiedziałem [żartem], że potrzebuję jeszcze tylko wizę do Związku Radzieckiego. Odpowiedzieli mi, że jak wyjadę nie w tym kierunku, co trzeba, to już nigdy nie dostaną paszportu. Powiedzieli mi, że muszę się zwinąć z Polski zanim się zacznie II tura zjazdu, że tam już niema dla mnie miejsca. Poprosiłem wtedy o paszport dla mojej narzeczonej. Powiedzieli - „Nie ma sprawy. Zanim dojedziesz do Puław, to ona już dostanie paszport". Odbyło się to błyskawicznie, jak nigdy. Wyjechałem z Polski z nią i z małym, 5-letnim dzieckiem.

Jechaliśmy na Zachód małym fiatem. W Bolesławcu zorientowałem się, że jesteśmy cały czas śledzeni. Gdy zboczyłem z trasy, żeby wynająć jakiś hotel, zajechał mi drogę samochód i powiedziano mi - „Miałeś jechać do swojego wymarzonego kraju. Dlaczego zjechałeś z trasy?". Odpowiedziałem, że jadę z małym dzieckiem. Powiedzieli mi: „To jedź za nami, my ci hotel znajdziemy". Rzeczywiście znaleźli. Tam przenocowaliśmy. Gdy chcieliśmy coś zjeść przed spaniem, okazało się, że na korytarzu czeka jakiś tajniak. Spytał się, dlaczego wychodzę, a jak powiedziałem, że chcemy coś zjeść, to powiedział, że mi przyniosą.

Jak wjechałem do NRD, to chciałem kupić lampę błyskową do aparatu (tam były takie rzeczy dostępne). W Jenie zjechałem z autostrady i kupiłem sobie lampę błyskową. Kiedy wróciłem na autostradę, to okazało się, że była blokada przy wyjeździe z miasta. Zostałem ponownie zatrzymany i pouczony, że jeśli jeszcze raz będę próbował uciec, to już nigdy nie wyjadę na Zachód. Powiedzieli mi, że mam jechać prosto do granicy. Gdy wieczorem dojechałem do granicy, to podszedł do mnie jeden z cywili, którzy jechali za mną, dał mi żarówkę i powiedział: „Masz tu żarówkę, bo nie masz światła stopu". Zamontowałem tę żarówkę i przekroczyłem granicę. Zachodnioniemieccy celnicy zwrócili mi uwagę, że paszport mam niepodpisany i dopiero przy nich go podpisałem.

- A jak Pan nawiązał kontakt na Zachodzie z KPN-em i Wolną Europą?

- Niemcy nie pasowały mi genetycznie. Postanowiłem pojechać do Francji. Pojechaliśmy do

[6] Rzeczywiście pisemko satyryczne pod takim tytułem było wydawane podczas I tury (3 jednokartkowe n-ry) i II tury (kolejne 3 n-ry) I Zjazdu Solidarności. Jego pomysłodawcą byli Włodzimierz Zbiniewicz i Andrzej Kowalczyk z Solidarności Ziemi Puławskiej *wspomagany przez Józka Orła, Ewę Milewicz i Leszka Szarugę. Współpracowało z nimi okazjonalnie i w zależności od humoru jeszcze parę osób...* https://www.salon24.pl/u/sine/938249,pelzajacy-manipulo-i-echo24 W "Encyklopedii Solidarności" dodano jeszcze imiona i nazwiska Jacka Federowicza i Krzysztofa Leskiego https://encysol.pl/es/encyklopedia/hasla-rzeczowe/14138,Pelzajacy-Manipulo.html [W stopce do nr 2 jest podany skład redakcji. Nie ma tam Ewy Milewicz, za to jest Lesław Maleszka].

Lyonu, bo ja trochę chodzę po górach, jestem geografem. Pomyślałem, że dobrze być blisko gór i blisko morza. W Lyonie zabrakło nam benzyny. Stanęliśmy na jakimś dużym rondzie. Przyjechała policja. Ja w międzyczasie w słowniku znalazłem, jak się po francusku prosi o azyl. Napisałem to na kartce (bo nie wiedziałem, jak się wymawia) i im to pokazałem. Oni byli strasznie zdumieni. Wzięli mnie na komisariat. Tam się znalazł ktoś, kto tłumaczył z polskiego na francuski. Powiedzieli mi: „Nie dostaniesz azylu. To jest prowokacja. Solidarność w Polsce przejmuje władzę, a ty twierdzisz, że jesteś działaczem Solidarności i prosisz o azyl?!". Tym niemniej, z uwagi na to, że byliśmy z dzieckiem, to po jednej nocy spędzonej na campingu (a to był październik i było chłodno) trafiliśmy do Armii Zbawienia. Ja nie rozumiałem po francusku, co to jest za instytucja i myślałem, że to jest jakiś hotel dla oficerów. Okazało się, że to jest ośrodek dla włóczęgów. Tam dostaliśmy pokój i zaczęliśmy tam mieszkać.

Zacząłem się rozglądać za jakąś opozycją, za ludźmi, którzy coś dla Polski robią. Już następnego dnia miałem kontakt z grupą młodych chłopców, jak się okazało, to byli trockiści. Oni mieli kontakt z Bałuką. Bałuka [jeden z przywódców strajku w 1970 roku, który po Grudniu znalazł się na Zachodzie] wtedy przedostał się z Francji do Szczecina, ale jego żona mieszkała nadal w Lyonie. [Władze PRL nie chciały jej wpuścić do kraju]. Ona powiedziała mi, że Francja dzieli się na Paryż i na „resztę świata". - „Ty się marnujesz w Lyonie. To jest prowincja". Obiecała załatwić mi jakieś kontakty w Paryżu. W międzyczasie spotkałem się z innymi Polakami. Na przykład nawiązałem znajomość z panem Zalińskim. To jest ciekawa postać, bo on był ostro antykomunistyczny, natomiast jego syn był wicedyrektorem oddziału LOT-u w Paryżu. Później się okazało, że ten wicedyrektor, to człowiek bardzo uczciwy. Po wprowadzeniu stanu wojennego trochę nam pomagał, m. in. dzięki niemu dostaliśmy mieszkanie w Lyonie. Miał antykomunistyczne poglądy, do których się nie przyznawał.

Do stanu wojennego mieszkaliśmy w Armii Zbawienia. Potem dostaliśmy to mieszkanie. Jednocześnie cały czas miałem wizyty panów po cywilnemu, którzy ciągle mnie wypytywali, jak to jest z tym azylem. Twierdzili, że ktoś mnie namówił na tę prowokację, ale oni na to nie pójdą i żadnego azylu nie dostanę, jako członek Solidarności. Natomiast mówili mi, że gdyby się okazało, że jestem z PZPR-u, to azyl dostanę. Tak mi podpowiadali. - „Nie jestem z PZPR-u. Jestem z Solidarności". I tak te dyskusje trwały. Ja im mówiłem, że dni Solidarności są policzone, a oni się z tego śmiali. Niemniej jednak, jak wybuchł stan wojenny, to już rano miałem ich wizytę. Przyjechali z prezentami dla mojej narzeczonej i dla mojego dziecka. Od razu dostałem wtedy azyl. Chcieli tylko wiedzieć, skąd ja to wszystko wcześniej wiedziałem. Wtedy powiedzieli, że mogą mi ułatwić kontakt z Radiem Wolna Europa w Paryżu. Ja wcześniej o tym nie wiedziałem, że w Paryżu jest oddział RWE i ich studio, że nie muszę jechać do Monachium, żeby mieć z nimi kontakt.

- Proszę opowiedzieć, bo jest ciekawe, jak wyglądał ten pierwszy Pana kontakt z Radiem Wolna Europa?

- Funkcjonariusze z francuskiego kontrwywiadu (DST) wyposażyli mnie w komplet adresów - z kim się mogę kontaktować w Paryżu. Nie wiedziałem, kto przybył do Paryża z działaczy Solidarności po wprowadzeniu stanu wojennego. Pierwsze moje kroki były do Komitetu Solidarności, gdzie ze zdumieniem zobaczyłem, że jest Seweryn Blumsztajn, którego znałem z Polski i Mirek Chojecki (którego także znałem). Nie znałem natomiast Zbyszka Kowalewskiego, z Łodzi. Oni tworzyli taki zalążek Komitetu Solidarności w Paryżu. Ucieszyli się, że jestem, bo nasz Biuletyn puławski był znany dzięki tej aferze z niedźwiedziem. Zaczęliśmy debatować, co robić. Tam byli jacyś tacy napaleńcy, którzy mówili: „Tworzymy oddział i idziemy na pomoc odbić Lecha Wałęsę". Mój jedyny pomysł, jaki miałem, był taki, że trzeba jak najwięcej mówić o tym, co się dzieje w Polsce. Mieć informatorów, którzy będą nam mówili, co się dzieje w kraju i o tym pisać. Blumsztajn od razu powiedział na to: „To ja będę wydawać biuletyn".

Druga moja wizyta była w studio Radia Wolna Europa, gdzie przyjął mnie [Dominik] Morawski - kierownik tego oddziału. Powiedział: „Bardzo się cieszę, że jesteś z Solidarności, bo Twoi koledzy nie chcą z nami pracować, żeby nie szkodzić swoim kolegom". Ja powiedziałem -

„Jakie szkodzenie? Radio Wolna Europa jest jedynym źródłem informacji dla Polaków i należy o tym wszystkim mówić". Morawski się strasznie ucieszył. Powiedział: „Pisz, co chcesz i to będzie dawane na antenę". W ten sposób zostałem ich współpracownikiem.

Część z tych audycji mam nagrane, bo to nagrywał Tadeusz Brzostek. I tu wchodzimy na temat KPN-u. Co się okazało po tych wizytach w Komitecie Solidarności i w Radio Wolna Europa? Kiedy zacząłem nadawać pierwsze audycje, zgłosił się do mnie starszy pan o lasce i stwierdził, że zaprasza mnie do restauracji. Pomyślałem, że to ktoś nasłany przez ambasadę, ale tam poszedłem. Wchodzę do tej restauracji, a tu na stoliku przy wejściu rozłożone pisma niepodległościowe z Polski, w tym biuletyny KPN-u. I na witrynie zobaczyłem dużymi literami napisane „KPN". W pierwszym momencie nie skojarzyłem, że chodzi o Konfederację. Myślałem, że to jakiś inny skrót francuski. Okazało się, że tenże Tadeusz Brzostek ma dobry kontakt z Leszkiem Moczulskim i tworzy jednoosobowe biuro KPN-u we Francji, w Paryżu. Poznałem jego żonę - sympatyczna starsza pani. Okazało się, że jest to uchodźcza emigracja, sprzed 1968 roku. Miał w Polsce jakieś problemy, wyjechał do Francji, założył tu małą restaurację i w momencie, kiedy powstał KPN, to zaczął tu propagować ideę KPN-u w porozumieniu z Giedroyciem. Giedroyć zbierał w „Kulturze" pieniądze dla polskich organizacji opozycyjnych i ludzie wpłacali z konkretnym przeznaczeniem: dla KOR-u, dla ROPCiO... I były też datki dla KPN-u. Giedroyć nie bardzo wiedział, co z tym zrobić, bo on miał poglądy lewicowe i twierdził, że KPN lekko prowokuje Rosję, a to nie mieściło się w kategoriach postępowania Giedroycia. W każdym razie Giedroyć te datki przekazywał Brzostkowi, a Brzostek wysyłał to swoimi kanałami do Polski. W każdym razie on już był znany jako działacz KPN-u.

Z kolei Blumsztajn nie bardzo przepadał za KPN-em, bo on był z KOR-u. Jak się dowiedział, że ja jestem w kontakcie z Brzostkiem, to powiedział, żebym unikał tego kontaktu, bo inaczej nie będę mógł nic pisać w biuletynie, który on wydaje. Ja mu powiedziałem: „Jak ty nie chcesz, żebym ja pisał, to rozwinę swoją gazetę".

Bo jeszcze zanim przyjechałem do Paryża, w Lyonie, wydałem pierwszy numer biuletynu, który jeszcze nie nazywał się Solidarność. Pisałem tam o tym, że są aresztowania w Polsce, zacząłem nawet zamieszczać listę aresztowanych, którą poznałem. Pomyślałem, że przekształcę to swoje pismo w pismo Solidarności i będzie to pismo niepodległościowe.

W tym momencie Blumsztajn wykopał topór wojenny. Powiedział, że „Kowalczyk jest konkurencją dla Solidarności, robi rozbijacką robotę i chce rozbić struktury". Powiedziałem, że nie będę rozbijał, bo nie tworzę żadnych struktur. Po prostu wydaję pismo.

W tymże „Tygodniku Solidarność" zacząłem zamieszczać dużo artykułów na temat KPN-u. Pismo się ukazywało przez półtora roku.

- To było po francusku, czy po polsku?

- To było po polsku, bo to było adresowane do Polaków we Francji. Jego nakład wahał się między pięć a dziesięć tysięcy egzemplarzy.

Gdy zacząłem wydawać to pismo, to pouczyli mnie, że na to trzeba mieć zezwolenie. Ja oczywiście natychmiast o to zezwolenie wystąpiłem i je dostałem. Ta moja gazeta, pomimo, że była po polsku, to była sprzedawana w kioskach francuskich. Można było pójść do kiosku francuskiego w kilku punktach w Paryżu i tam, obok „Le Figaro", czy „Paris Match" leżała moja „Solidarność"[7].

Jedynym wtedy ośrodkiem, gdzie Polacy gromadzili się tłumnie w każdą niedzielę, był polski kościół w Paryżu. Po mszy na placu przed kościołem Polacy przez godzinę lub dwie rozmawiali, śpiewali pieśni patriotyczne. Na początku natychmiast przyjechały dwa albo trzy radiowozy i pytali się: „Co to jest? Nielegalna manifestacja?". Wtedy Francuzi podchodzili do

[7] *Pismo nosiło* [...] *tytuł „Hebdomadaire Solidarność" i było wydawane od początku 1982 r. w Lyonie, gdzie miała znajdować się filia paryskiego Komitetu. Organizowała ona zbiórkę pieniędzy na rzecz działaczy w kraju, a w periodyku podawano wielkość wpłat. Drukowano tam informacje o internowanych, obchodach rocznicy wprowadzenia stanu wojennego w regionie, przybyciu do Francji byłych internowanych. Od listopada* [1982 r.] *przestały się jednak pojawiać w stopce informacje o współpracy z paryskim Komitetem*. Magdalena Heruday-Kiełczewska, *Solidarność nad Sekwaną,* Gdańsk 2016, s. 179.

Solidarności z ogromną sympatią...

Na tym placu przed kościołem to [moje] pismo rozchodziło się, jak świeże bułeczki. Ja nie określałem jakiejś sztywnej ceny, tylko mówiłem - „Co łaska". Na stoliku stała puszka, za stolikiem siedziała moja narzeczona z moim 5-letnim synkiem i to rozprowadzaliśmy. To cieszyło się dość dużą popularnością. Ciekawe było to, że ludzie po zakupieniu tego pisma natychmiast to gdzieś chowali.

Polacy generalnie bali się Solidarności, dlatego, że wtedy wystarczyło 100 franków, aby bardzo dobrze żyć przez miesiąc w Polsce, bo przebicie dolara i waluty zachodniej było wtedy dość duże w Polsce. Jak wybuchł stan wojenny, to te wyjazdy się skończyły. Więc oni z jednej strony popierali ten ruch, bo to był ruch demokratyczny, ale z drugiej strony byli wściekli na Solidarność.

Bardzo nam pomógł wtedy RPR (Ruch na Rzecz Republiki), czyli gaullistowska partia ówczesnego prezydenta Chiraca.*(Prezydentem Francji był w tym czasie socjalista Francois Mitterand)*. Oni nam dali swoją drukarnię.

Jak zacząłem wydawać to pismo, to stałem się tutaj rozpoznawalny. Kilka spotkań miałem z Giedroyciem w Maissons-Laffitte. On w zasadzie nie ruszał się poza Maissons-Laffitte. Jak były spotkania w Bibliotece [Polskiej w Paryżu, na wyspie św. Ludwika], nawet jeśli były poświęcone „Kulturze", to on nie przyjeżdżał, dlatego, że on poza Maissons-Laffitte nie czuł się bezpiecznie. Nie wyjeżdżał stamtąd, ale chętnie przyjmował różnych gości.

- Jakie wrażenie zrobił na Panu Giedroyć? Bo przecież wiedział, że Pan sympatyzuje z KPN-em, a on wręcz przeciwnie...

- Właśnie nie. Giedroyć bardzo się ucieszył, kiedy mu powiedziałem, że Moczulski będzie we Francji. [Tu już przechodzimy do roku 1987.] Powiedział, że chce się z nim spotkać i jest do dyspozycji dzień i noc. Jak przyjechaliśmy z Leszkiem i z panią Marią do Giedroycia, to witał nas przy samej bramie, radośnie dosłownie.

- A był Pan przy rozmowie? Bo rozmowa nie była miła...

- Na początku rozmowy, kiedy przywitaliśmy się i usiedliśmy za biurkiem, Leszek zapytał: „Czy mógłbyś towarzyszyć Marii w spacerze po ogrodzie?". Zorientowałem się, że chcą porozmawiać w cztery oczy i my z Panią Marią chodziliśmy po ogrodzie, kiedy oni rozmawiali. Dlatego nie znam treści rozmowy. W każdym razie to trwało dosyć długo - tak gdzieś około trzech godzin. Jak spacerowaliśmy, to Pani Maria kilkakrotnie szła do sekretarki Giedroycia, żeby się coś napić i może pod tym pretekstem trochę uczestniczyła w tej rozmowie. Nic nie wskazywało na to, żeby rozmowa była niemiła, bo pożegnali się też serdecznie. Trudno mi powiedzieć, o czym rozmawiali. Leszek po tej wizycie nic nie mówił, nie komentował tej wizyty.

O tym, że były jakieś problemy z pieniędzmi [zbieranymi przez „Kulturę" dla KPN-u, które nie trafiły do Moczulskiego], to wiedziałem już wcześniej, od Brzostka. Brzostek twierdził, że dużo pieniędzy, które były przekazywane na KPN, on nigdy nie zobaczył, bo to było przekazywane do KOR-u...

- Ano właśnie!

- Brzostek zwrócił na to uwagę Giedroyciowi, a Giedroyć powiedział: „To jest nieprawda. To są plotki. Daję Panu wszystko, co jest przekazywane na KPN". Trudno mi jest powiedzieć *[jak było]*. Ja unikałem spraw finansowych, bo wiem, że to jest śliska sprawa i zawsze na tym tle są jakieś tam spory i kłótnie. Poza tym, ja nie byłem finansowany. Byłem samofinansowalny przez ten biuletyn.

- Na start Pan musiał mieć jakieś środki. Bo to się mogło samofinansować później. Ale jak Pan zaczynał, to musiał Pan mieć pieniądze na start.

- Jak pojawiłem się w Lyonie w październiku [1981 roku] to przez trzy miesiące pracowałem w firmie „SERNAM", która rozładowuje wagony. Szefem tej grupy, która się tym zajmowała, był jakiś Ukrainiec i on mi pomógł załatwić tę pracę. Poprosiłem, czy można więcej zarobić, bo mam plany i potrzebuję więcej pieniędzy i pracowałem na zmianie nocnej. I gdy zarobiłem pierwsze pieniądze, poprosiłem żonę Bałuki i tych chłopców z grupy trockistowskiej, czy

znają jakąś drukarnię, która mogłaby mi wydrukować pismo (to już było po wprowadzeniu stanu wojennego). Oni mi taką drukarnię znaleźli i tam wytargowałem niezłą cenę. Oni wydrukowali mi pierwsze numery tego mojego pisma. Ja pisałem to na maszynie, potem to lekko pomniejszaliśmy, żeby zajmowało mniej miejsca i drukowaliśmy. Jakoś od dziecka byłem nauczony, że należy pracować na swój koszt i zarabiać, a nie wyciągać ręce, aby inni dali (bo wtedy jestem od innych uzależniony).

Pamiętam, jak pierwszy raz do Paryża wziąłem tysiąc egzemplarzy tego pisma, z nadzieją, że sprzedam to wśród Polonii w Paryżu i zgłosiłem się do tej parafii, do księdza i poprosiłem, czy mogę [rozprowadzać pismo] przed tym polskim kościołem (ten ksiądz potem pracował w Wolnej Europie - niestety nie pamiętam nazwiska [*był to ks. Ludwiczak*]), ksiądz się ochoczo zgodził, ustawił mi stolik i zacząłem sprzedawać. Z tego tysiąca sprzedałem wtedy sześć egzemplarzy po mszy. Ludzie po prostu bali się. Dopiero z czasem się to rozwinęło i ludzie zaczęli kupować. Ksiądz zaczął pouczać ludzi, co to jest ta Solidarność. Duża część ludzi była przekonana, że to jest ruch bardzo komunistyczny. To były środowiska niepodległościowe, tym niemniej chętnie przychodziły na różne rauty do polskiej ambasady. Dopiero, jak ksiądz zaczął tłumaczyć, że to nie ma nic wspólnego z komunizmem, to ludzie zaczęli tak śmielej to kupować. Ale na początku to był problem.

Pamiętam pierwszą noc, jak przyjechałem do Paryża - spędziłem ją w budce telefonicznej, bo nie miałem pieniędzy na najtańszy hotel. Wtedy miejscowi kloszardzi zaczęli mnie uczyć francuskiego, jak się zorientowali, że ja ani me, ani be po francusku. Tak mi noce mijały.

- Chciałem zapytać o te rozmowy, które Pan prowadził z Giedroyciem. Jakie on robił na Panu wrażenie? Jak on się zachowywał? O czym rozmawialiście?

- Był to człowiek, od którego było czuć, że to jest książę. Biło od niego takie dostojeństwo. Jak on coś mówił, to to nie podlegało dyskusji. Mówił spokojnie, dość wolno, z takim naciskiem, który powodował, że Pan siadał i myślał - „Nie ma co dyskutować, bo tak mówi Giedroyć". Niemniej wyczułem, że jest to typ księcia bardzo lewicującego, czyli jego poglądy - według moich kategorii myślenia - były lewicowe. Ciągle odwoływał się do ludu, do woli ludu, do demokracji, do tych cech, które nie miały nic wspólnego z prawami rynku, z biznesem, czy demokracją wolnomyślicieli. To było wszystko podporządkowane jakiejś idei, woli większości. Ja to wszystko umieszczam w kategoriach dość lewicowych. To była pierwsza sprawa. Po drugie - on ubolewał, że KPN drażni niepotrzebnie Rosję. On uważał, że z Rosją można się dogadać, że to jest tylko kwestia znalezienia wspólnego języka. Jak z nim rozmawiałem, to mówiłem mu, że mamy przykład bolszewików i NKWD i to jak oni się dogadywali z Armią Krajową. Ale on twierdził, że te czasy już minęły. On doszedł do wniosku, że bliżej mi do środowiska londyńskiego, które było dość radykalne, jeżeli chodzi o Rosję, niż do środowiska paryskiego. Powiedział mi, że może od czasu do czasu zamieścić to, co ja napiszę i to robił, ale powiedział mi, żebym się zwrócił do gazety „Żołnierz Polski", która wychodziła w Londynie. „Pana myśl jest bliższa im".

I tak poznałem członków rządu londyńskiego: Sabbata, Raczyńskiego... Byłem tam u nich kilka dni w „Domu Polskim".

Natomiast Giedroyć nie ukrywał, że bliżej mu do KOR-u i do socjalizmu z ludzką twarzą niż do KPN-u.

- Czy dobrze zrozumiałem, że Pan publikował coś w „Kulturze"?

- Tak. Trzy czy cztery razy Giedroyć mi coś zamieścił[8]. *Notabene* zaraz po pierwszym artykule zadzwonił do mnie i powiedział, że ma sygnały z Polski, żeby uważać na mnie. Zaczął wypytywać, jak było z moim wyjazdem. Później się okazało, że ostatnie, co zamieścił, to był mój list do redakcji i wyjaśnienie - natychmiast pod tym listem. A więc zanim zamieścił musiał to komuś dać do przeczytania. To było wyjaśnienie, zdaje się, Waldemara Kuczyńskiego - ekonomisty. Kuczyński wyjaśniał, że Andrzej Kowalczyk został usunięty z Solidarności pod zarzutem

[8] Przeglądnąłem indeksy wszystkich autorów, którzy publikowali w „Kulturze" w latach 1982-1987 i nie znalazłem ani jednego tekstu podpisanego imieniem i nazwiskiem Andrzeja Kowalczyka.

malwersacji dużych sum pieniędzy. Ja się zdziwiłem[9]. W tym momencie do akcji wkroczył Mirek Chojecki, z którym się tak trochę przyjaźniliśmy. Powiedział mi: „Ja ci mogę przekazać materiały, które ma Kuczyński". Odpowiedziałem - „Bardzo chętnie". On mi dał oświadczenie Solidarności Ziemi Puławskiej z datą 12 grudnia 1981 roku. I w tym oświadczeniu ludzie, którzy tam się podpisali, stwierdzili, że z Andrzejem Kowalczykiem, który wyjechał do Francji, nie mają nic wspólnego, że Andrzej Kowalczyk prowadzi działalność na terenie Francji na własną odpowiedzialność, że to nie ma nic wspólnego z Biuletynem [Solidarności w Puławach] i że Andrzej Kowalczyk wyjechał do Francji nie rozliczywszy się z dużych sum pieniędzy. To już było rok po czasie. Ten dokument w oryginale miał Kuczyński. Skąd on to miał, to ja nie wiem.

A historia była taka, że jeszcze przed stanem wojennym była wizyta delegacji Solidarności z Lechem Wałęsą na czele we Francji. Tydzień przed tą wizytą przyjechała delegacja kolejarzy polskich z Gdańska, którzy byli m.in. w Lyonie. Ci kolejarze urządzili wiec. Na ten wiec Bałukówna zaprosiła mnie. Apelowała o to, aby zebrani na sali dokonali zbiórki na rzecz Solidarności (zebrali sporą sumę pieniędzy). Gdy ci delegaci z Polski [teraz mowa o tej delegacji kolejarzy - z Solidarności] zauważyli, że ja rozmawiam z Bałukówną, to jeden z nich podszedł i powiedział, że ma drażliwą sprawę, którą chciałby z kim omówić. - „Czy mogę z Panem?". - „No proszę, słucham". Myślałem, że chodzi mu o Solidarność. A on powiedział: - „Tutaj jest z nami z ramienia związku człowiek z Solidarności, który jest kierownikiem naszej grupy i który zachowuje się dziwnie, bo pieniądze, które dostaliśmy na wyjazd, on trzyma i wydziela nam dosłownie po jednym franku. Ja palę papierosy i nie mam nawet na papierosy. Czy mógłbyś z nim porozmawiać? On przyleciał samolotem do Francji, my tłukliśmy się pociągiem. Jakoś ta równość i demokracja w ramach Solidarności jest bardziej teoretyczna niż praktyczna". Powiedziałem to Bałukównej. Ona powiedziała: „Nic się nie przejmuj. Ja z nim porozmawiam". Napisałem potem artykuł pt. „Solidarność Jacka Kłysa" i wysłałem to do Polski, do tego Biuletynu w Puławach (cały czas byliśmy w kontakcie listownym i oni zapewniali, że wszystko to, co ja piszę we Francji, jest drukowane w tym Biuletynie. Dopiero później się okazało, że to nie było drukowane, a wszystko, co ja drukowałem, znalazło się w mojej teczce, którą gromadziła Służba Bezpieczeństwa. Nadali tej teczce kryptonim "Petit", czyli "Mały").

- Kiedy te Pana teksty były drukowane w „Kulturze"?

- Ta polemika z Kuczyńskim w 1981 roku. Ja mam te wszystkie teksty[10].

- W 1981 roku? Pan przyjechał do Francji w październiku 1981 roku i do końca roku, w ciągu trzech miesięcy, Pan zdążył opublikować teksty w „Kulturze"?

- Nie, nie. Ta polemika z Kuczyńskim to była w 1982 roku, przepraszam[11]. To było rok później. To z Kuczyńskim to było, o ile mnie pamięć nie myli, jesienią, jeżeli nie w 1983 roku. Bo zaraz później wydałem oświadczenie, które zdaje się Giedroyć też opublikował, że w świetle tych wszystkich zaistniałych okoliczności, że już nie jestem w Solidarności i wobec zarzutów Kuczyńskiego, że nieprawnie przejąłem tytuł „Solidarność" do swojej gazety, ja mu to wszystko przekazuję i niech on to robi sam. Ja przestaję to robić. To było w ostatnim numerze [pisma

---

[9] W maju 1983 r. ukazał się w „Kulturze" (s. 156-157) list Kuczyńskiego, który poświęcony był kwestii używania przez różne pisma za granicą nazwy „Solidarność" w swych tytułach. *Piszę w sprawie dwóch gazet, kanadyjskiej – „Słowo Solidarność" i paryskiej - „Tygodnik Solidarność". Wydawcy tych gazet, jeden pośrednio, drugi wprost, sugerują czytelnikom, że mają one jakiś związek z „Tygodnikiem Solidarność wydawanym przez Komisję Krajową do wprowadzenia stanu wojennego.* [...] *Nie ma także nic wspólnego z krajowym „Tygodnikiem Solidarność" pismo pod tym tytułem wydawane w Paryżu przez Andrzeja Kowalczyka. Ani politycznie, o czym łatwo się przekonać porównując oba wydawnictwa, ani formalnie. Krajowy „Tygodnik Solidarność" był oficjalnym pismem Związku, wydawanym przez jego władze naczelne. I tylko one, nikt inny, miały i mają prawo podjąć decyzję o wydawaniu go na emigracji. Takiej decyzji nie podjęły. Andrzej Kowalczyk działa bez ich mandatu, samowolnie. Jego decyzja jest złamaniem dyscypliny związkowej*.

[10] W „Indeksie autorów i tematów rocznika *Kultury* za rok 1981" („Kultura" nr 12 z 1981 r., s. 148-160) nie ma imienia i nazwiska Andrzeja Kowalczyka.

[11] W „Indeksie autorów i tematów rocznika *Kultury* za rok 1982" („Kultura" nr 12 z 1982 r., s. 146-159) nie ma imienia i nazwiska Andrzeja Kowalczyka.

wydawanego przez Kowalczyka, czyli w październiku 1983 roku], już po przyznaniu Wałęsie nagrody Nobla. Ale teraz nie mam przed sobą tych wszystkich numerów i trudno jest mi powiedzieć, czy to był rok 1982, czy rok 1983. W każdym razie, to jest wydrukowane [w piśmie wydawanym przez Kowalczyka], więc można to sprawdzić...

- Kiedy Pan miał jakiś kontakt z Wolną Europą?

- Teraz? Teraz miałem ostatnio kontakt z ...

- Nie, nie. Wtedy. Bo Pan mi wcześniej mówił, że Pan robił jakieś materiały dla Najdera.

- [Chwila milczenia] Może nie tyle dla Najdera. Wtedy, kiedy robiłem te audycje, to dostawałem Biuletyny Wolnej Europy - to była tzw. prasówka, czyli wycinki z prasy polskiej. Różne tematy: polityczne, gospodarcze. To było dość obszerne (około stu stron - dwa razy w tygodniu). Ja z tego zacząłem wybierać to, co dotyczyło KPN-u, robić z tego osobne odbitki i w porozumieniu z biurem paryskim Wolnej Europy, czyli z Morawskim, omawiać to. I wtedy dostałem list z Wolnej Europy, ja ten list mam do dzisiaj, od [tu Rozmówca niewyraźnie wymienia jakieś nazwisko], który powiedział, że Najderowi się to podoba i żebym to kontynuował.

Natomiast Najdera spotkałem i rozmawialiśmy, na zjeździe Polonii w Londynie. To było, zdaje się, w 1983 roku.

- Jakie wrażenie zrobił na Panu Najder?

- Najder był bardzo tajemniczy. Z racji wady wzroku trudno mu było prosto spojrzeć w oczy, to znaczy trudno było rozpoznać, co on naprawdę myśli. Z reguły miał twarz skręconą w bok, tak, że trudno było powiedzieć. Natomiast był bardzo sympatyczny. Na tym zlocie delegatów niepodległościowych, który był w Londynie, był witany entuzjastycznie. Potem mieliśmy prywatne spotkanie, już poza tym zlotem, taki raut. Chojecki mnie przedstawił Najderowi. Najder dopytywał się, jak ja to pismo wydaję, czy mam jakieś kłopoty... Po tym spotkaniu Najder zaproponował, żeby powiększyć skład redakcji paryskiej Radia i wszyscy byli pewni, że ja ten etat dostanę. Jakież było moje zdziwienie, kiedy Morawski mi oświadczył, że jeżeli będzie ten jeden etat więcej dla sekcji paryskiej, to ten etat dostanie [Andrzej] Mietkowski - przyjaciel Wildsteina.

Tutaj w Paryżu wszyscy na niego mówili „Cień Wildsteina". Wildstein był zbliżony do Chojeckiego, a Mietkowski był zawsze pół kroku za Wildsteinem. To jest ciekawa postać, bo on był z rodziny generała Mietkowskiego - generała Służby Bezpieczeństwa z Krakowa (zdaje się to był jego wujek[12]). Ja powiedziałem Morawskiemu - „Ale co Mietkowski. Przecież Mietkowski nie robi żadnych audycji". - „Ale rozumie Pan, że Wolna Europa robi nie tylko audycje, ale prowadzi swego rodzaju politykę i w momencie, kiedy na antenie pojawi się Mietkowski, którego wujek jest generałem Służby Bezpieczeństwa, to będzie to duży cios w służby i jednocześnie ogromny nasz sukces, że takiego człowieka zdobyliśmy do współpracy". Później, jak się spotykałem z Morawskim, to mówił, że zrobił błąd, bo żadnego pożytku z tego Mietkowskiego nie ma, a trochę on ich kosztuje. Jak się to skończyło, to nie wiem, bo po tym wszystkim oziembiłem swoje stosunki z Radiem [Wolna Europa]. Zrozumiałem, na czym polega „wielka polityka", że mojego miejsca tam nie ma i zająłem się raczej sobą.

- A jakie były stosunki między Morawskim a Giedroyciem?

- Morawski był traktowany przez Giedroycia z pobłażliwym uśmiechem. Między nimi niby nie było wojny, ale wiedzieli, gdzie są zakopane topory wojenne. Giedroyć wolał nie rozmawiać o Morawskim, wolał rozmawiać o „Kulturze".

---

[12] Chodziło o Mieczysława Mietkowskiego (właściwie Mojżesza Bobrowickiego, 1903–1990), który urodził się w Białymstoku, był szefem Zarządu Polityczno-Wychowawczego 1 Armii WP w ZSRR, a potem był stalinowskim działaczem komunistycznym, generałem brygady bezpieczeństwa publicznego i wiceministrem bezpieczeństwa publicznego (1945–1954). Odpowiadał za zbrodnie stalinowskie, ale nie poniósł żadnej odpowiedzialności karnej za swoje czyny. Po rozwiązaniu MBP został zmarginalizowany, w 1955 r. usunięto go z PZPR, krótko pracował jako dyrektor w NBP. W l. 70. żył jako zapomniany emeryt w Warszawie. Natomiast Andrzej Mietkowski (współzałożyciel krakowskiego SKS-u) urodził się w 1956 roku w Moskwie. Wg polskiej Wikipedii Mieczysław Mietkowski był dziadkiem (a nie wujkiem) Andrzeja Mietkowskiego.

- Miał Pan jakiś kontakt z Bronisławem Wildsteinem?

- Miałem. Gdy przestałem wydawać „Tygodnik Solidarność" Mirosław Chojecki zaproponował mi wydawanie wspólnego nowego pisma pod nazwą „Kontakt". Ja zredagowałem pierwszy (ściślej – zerowy) numer tego pisma (w formacie A4) i miałem być redaktorem naczelnym „Kontaktu". Po wydaniu tego numeru Mirek zadzwonił do mnie i mówi: „Słuchaj, jest problem. Przyjedź do redakcji". Redakcja była wtedy w lokalu koło Centrum Pompidou. Pojechałem. Tam Chojecki przedstawił mi Bronka Wildsteina. Powiedział: „Od następnego numeru on będzie redaktorem naczelnym tego pisma. Ty, jak chcesz, możesz być jego zastępcą". Powiedziałem: „Mirek, inaczej się umawialiśmy. O co chodzi?". Okazało się, że numer zerowy był za ostry. Mirek powiedział: „Będziesz wpychał nas w różne konflikty. I Sewek Blumsztajn jest przeciwko Tobie, i Zbyszek Kowalewski jest przeciwko Tobie". Odpowiedziałem: „Dziękuję, nie mamy o czym rozmawiać. Jestem samotnym jeźdźcem i koniec. Wolę samemu decydować. Nie interesuje mnie, aby być czyimś zastępcą". Nasze drogi się rozeszły. W ten sposób poznałem Wildsteina.

Wildstein potem dzwonił do mnie i prosił, żebym jednak wszedł do redakcji. Byłem na kilku spotkaniach, które oni zorganizowali. Mirek wynajął lokal koło Paryża, w starej hali i tam były kilkakrotnie organizowane te spotkania.

Przyjaźń między Wildsteinem a Chojeckim zakończyła się w sądzie, bo Wildstein podał Chojeckiego do sądu, zarzucając mu, że zatrudniał go na czarno. Byłem na tej sprawie. Pani sędzia była lekko zakłopotana (bo wtedy jeszcze Solidarność cieszyła się ogromną poparciem Francuzów). Powiedziała im na rozprawie: „Panowie, wyjdźcie na korytarz, pogódźcie się, bo ja bym nie chciała wydawać wyroku ani za, ani przeciw". Ale Wildstein się upierał przy swojej teorii, że był zatrudniony na czarno. W końcu jego pozew oddalono. Gdy RWE powiedziała, że jest spór między jednym a drugim, to nawet [Daniel] Olbrychski zabrał głos i wziął w obronę Chojeckiego. Wildstein się wycofał, ale to już był praktycznie koniec „Kontaktu" – pismo przestało się ukazywać.

W tym czasie Bronek był silnie związany ze środowiskami trockistowskimi. Oni go popierali. Uważał, że na prawo nie należy skręcać.

Wildstein wrócił do Polski dopiero, jak się władza zmieniła.

- On się teraz przedstawia w kraju, jako prawicowiec.

- On jest dobrym graczem, taki polityk – pokerzysta. Nie wierzę w to, co on mówi. Bardziej wierzę jego synowi - moim zdaniem on jest bardziej szczery. Natomiast Bronek Wildstein zrobił kilka posunięć, które nie mają nic wspólnego z prawicą. Na przykład - publikacja listy tajnych współpracowników, z nikim nie ustalona. Wielu ludziom, którzy tutaj siedzieli na Zachodzie i służyli dobrej sprawie, włosy stanęły dęba, bo Wildstein w Internecie opublikował nie tyle nazwiska tajnych współpracowników, ile ludzi, którzy dalej zajmowali się jakimś tam kontrwywiadem. To było posunięcie dziecinne. Tego nikt nie robi. Ale Bronek lubi wsadzać kij w mrowisko. Nie wiem, czemu to robi. Nie widzę w nim prawicowości żadnej. Jest to człowiek dość interesowny - lubi się dobrze ustawić. I jest to człowiek o poglądach w dalszym ciągu lewicowych. Oficjalnie jego zasługi są dość duże. Natomiast w polityce jego czyny są drastyczne.

- Jak to się stało, że Pan będąc we Francji został przedstawicielem KPN-u?

- Tadeusz Brzostek (zdaje się, że on miał tylko podstawowe wykształcenie, gdy ja założyłem ośrodek wydawniczy)…

- A czy Pan miał wyższe wykształcenie?

- Jestem z wykształcenia geografem, ale nie mam tytułu magistra, bo wyjechałem z kraju przed obroną pracy. Mam tylko świadectwo ukończenia studiów. Poza tym ukończyłem dwuletni kurs dziennikarstwa w Domu Słowa Polskiego w Polsce i mam dyplom redaktora.

- Czyli Brzostek miał kontakty z KPN-em, ale nie bardzo miał kompetencje i scedował to na Pana…

- Brzostek produkował dużo ulotek i ja mu te ulotki poprawiałem. Zwróciłem mu uwagę, że tekst się na ulotce w połowie urywał. On mi mówił, że tego i tak nikt nie czyta, a koszt produkcji ulotki jest duży…

Brzostek namawiał mnie, żebyśmy razem coś zaczęli robić. W momencie gdy powstał zalążek komitetu KPN-u w Paryżu, to tam był Brzostek, ja, [Przemysław] Zawadzki (on potem zrobił przewrót i mianował się przewodniczącym naszego Komitetu). To już było wtedy, gdy [Mark] Ruszczyński przyjechał do Paryża, a potem wyjechał do USA i zaczął tworzyć ogólnoświatowe struktury KPN-u (poza PRL). On przyjechał do Francji z Hiszpanii, gdzie wyjechał zdaje się na mistrzostwa świata… Tam było dwóch działaczy, którzy [w 1982 roku] zostali w Hiszpanii i wystąpili o azyl. Hiszpania nie chciała im dać tego azylu i Komitet ich ściągnął do Francji. Ten drugi człowiek [który był w Hiszpanii razem z Ruszczyńskim] okazał się potem pracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

Doszło do afery w Komitecie Solidarności. Dostałem informacje od francuskich służb, że w Komitecie, koło Blumsztajna, jest agent (bez podania, kto nim jest). Krążyły uporczywe plotki, że tym agentem jest Zbyszek Kowalewski. On był socjologiem, który był dość „czerwony" (był na Kubie w zlocie młodzieży, był też w krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie miał kontakty z rewolucjonistami - on się tłumaczył, że jako socjolog to robił). Okazało się, że po powrocie do Polski wydawał w Łodzi bardzo „czerwone" pisemka. W każdym razie było spotkanie w Komitecie, na którym był Milewski, który z kolei został usunięty ze Stanów (według służb francuskich też był agentem). Milewski przyjechał do Francji i zaczął robić rewolucję w Komitecie Solidarności. Jednoznacznie dał sygnał, że Komitet jest spenetrowany przez agentów. Wtedy ja wstałem i powiedziałem – „Oczywiście, że jest spenetrowany. Ale podaj nazwiska". Wtedy Blumsztajn zaczął strasznie bryzgać. Ale Sławek Czarlewski, który był uważany za takiego, który łagodził wszelkie spory, powiedział: „Dobrze, zrobimy przerwę, ale po przerwie ty podasz te nazwiska". Wtedy wstała prawa ręka Blumsztajna w Komitecie - Basia (Szczepańska) miała na imię - rozpłakała się i mówi – „To chodzi pewnie o mnie. Byłam oficerem SB, ale do spraw nieletnich". Wtedy zapanowała cisza, bo nikt nie podejrzewał Basi, że to ona. Myśleliśmy, że to Kowalewski. Wtedy Blumsztajn krzyknął: „Robimy przerwę!". A Milewski powiedział: „Robimy reorganizację Komitetu, bo tak nie może być!". Usiłował interweniować Andrzej Seweryn, który był też na miejscu: „Trzeba to wyjaśnić! Kobieta płacze. Tak nie może być! Co tu jest w ogóle grane, Sewek? Twoja prawa ręka okazuje się oficerem SB! Nie wiedziałeś o tym, czy co?!".

Zarządzono przerwę, a po przerwie obrad nie wznowiono. I tak to się odbyło…

Wracając do Marka Ruszczyńskiego. To była ciekawa postać. My mieliśmy z nim dobre kontakty. On miał najlepsze relacje z Szeremietiewem. Miły człowiek, sympatyczny, ale też ciekawy – błyskawicznie nawiązywał nowe kontakty. Albo miał taki dar, albo ktoś mu to ułatwiał.

Ja z nim rozmawiałem dość długo. Powoływał się na upoważnienia od Moczulskiego, żeby tworzyć struktury zagraniczne KPN-u. Powiedział, że bardzo mile widzi mnie, żebym, ja był przedstawicielem KPN-u w Paryżu, natomiast on sam zamierza emigrować do USA. Po czym dość szybko wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Mieliśmy korespondencję z nim w USA. On już posługiwał się papierem firmowym struktur zagranicznych KPN-u. Nie sprawdzałem, czy rzeczywiście miał upoważnienia. Ale skoro nikt nie protestował…

Potem podchody pod Komitet zaczęła robić polska Służba Bezpieczeństwa. Wreszcie III sekretarz ambasady polskiej (czy polskiego konsulatu) został wydalony z Francji pod zarzutem, że usilnie starał się rozpracować struktury niepodległościowe we Francji (nazywał się chyba Janiak; wylądował potem na placówce w Mongolii). Ja byłem podejrzewany, że to ja doprowadziłem do tego, że on został wydalony. Wtedy byłem przewodniczącym komisji rewizyjnej, która miała zbadać wydatki Komitetu Solidarności, bo zaczęły chodzić słuchy, że te pieniądze dziwnie się

rozchodzą, Blumsztajn wysyła kwiaty przez Interflorę do Polski itd. A sprawa była wrażliwa, bo trudno było powiedzieć, ile pieniędzy szło do Polski na powielacze, a ile na wydatki we Francji. Tymi informacjami interesowała się SB, a ten sekretarz ambasady najbardziej.

- Pan rzeczywiście mu pomógł, żeby go wydalili?

- W pewnym momencie zostałem przez Francuzów aresztowany na spotkaniu razem z nim. Czułem, że SB robi prowokacje. Oni gotowi byli nawet poświęcić swojego pracownika, żeby mnie wyciszyć. Na spotkaniu, które było ponoć umówione, że ja mu te dokumenty finansowe przekażę, zjawiłem się z torba pełną gazet polskich. W momencie, gdy francuski kontrwywiad nas aresztował, to ja zostałem natychmiast zwolniony. A sekretarz, który prawdopodobnie nie wiedział z czym ja przyszedłem, przyznał się, po co się ze mną spotkał i został wydalony.

Wtedy Ruszczyński błyskawicznie o tym się dowiedział i stwierdził, że ze mną chce się spotkać dwóch amerykańskich agentów FBI czy CIA, już mniejsza o to, żebym im wyjaśnił, jak to wszystko zaszło.

- Spotkał się Pan z nimi?

- Spotkałem się, ale to byli prawdopodobnie polscy pracownicy SB, którzy udawali Amerykanów. Bo ja nie sądzę, żeby bez wiedzy francuskiego kontrwywiadu wjechało do Francji dwóch agentów FBI, żeby porozmawiać z Kowalczykiem.

- A w jakim języku pan z nimi rozmawiał?

- Po polsku. Mieli lekki akcent amerykański, ale to każdy może udawać.

- Nie wiemy, jak się nazywali?

- Oni się przedstawiali, ale nie pamiętam tych nazwisk. Wiadomo zresztą, że nie podali prawdziwych nazwisk, tylko byle co.

- W którym roku to mogło być?

- Sprawa wydalenia tego dyplomaty była opisywana w gazetach francuskich. Ja o tym pisałem w gazetach, które ja wydawałem. Ale który to był rok? Wydaje mi się, że bardziej 1984 niż 1982.

- A Ruszczyński działał w imieniu KPN-u w 1984 czy później?

- Trudno mi podać daty, ale mam pisma od niego, bo zachowałem wszystko, co on wysyłał ze Stanów.

- Ale nie ma Pan przy sobie tych pism?

- Nie mam ich teraz przy sobie. Nie chcę podawać dat, żeby nie wprowadzać Pana w błąd.

- To jest ważny aspekt - część historii tworzenia biur zagranicznych KPN za granicą… Pan mówił, że była próba dokonania jakiegoś przewrotu w Komitecie KPN-u w Paryżu?

- Jak się trochę rozniosło o tej sprawie z wydalonym polskim dyplomatą, za pośrednictwem Brzostka dowiedziałam się, że jestem niemile widziany w środowiskach KPN-owskich za granica, jako ten, który robi różne rzeczy bez uzgodnienia z władzą zwierzchnią. Niemniej jednak to środowisko KPN-owskie, łącznie z Brzostkiem, powiedziało, że jest pilne spotkanie działaczy KPN-u (przyszło 5 czy 6 osób na to spotkanie). Ja tam poszedłem i okazało się, że Zawadzki wystąpił z zarzutami, że ja jestem człowiekiem niepewnym, że różne słuchy o mnie chodzą, że Solidarność mnie nie chce, w związku z czym on proponuje, żebym nie reprezentował KPN-u. Żebym pisał o KPN-ie, ale jako Andrzej Kowalczyk, a nie jako przedstawiciel KPN-u. Wtedy Zawadzki powiedział, że on będzie przedstawicielem struktur zagranicznych KPN-u we Francji. I tak się skończyła moja przygoda z KPN-em.

- A skąd się wziął Zawadzki?

- To był człowiek popierany przez środowiska ziemiańskie. Było takie stowarzyszenie ziemian – właścicieli majątków, którzy je utracili w wyniku działań komunistów. Oni mieli struktury zagraniczne. Tam działała głównie jego matka. On był z tych struktur. Ci ziemianie byli

traktowani wszędzie z dużą dozą sympatii. Nikt nie podejrzewał, że oni mają jakieś ukryte sympatie do komunistów. Ja go bliżej nie znałem. On nie uczestniczył w pracach Solidarności. Poznałem go bliżej, gdy zaczęły się spotkanie środowiska KPN-owskiego we Francji.

- A z innymi ludźmi ze struktur zagranicznych miał Pan jakich kontakt? Np. z Maciejem Pstrąg-Bieleńskim.

- Tylko korespondencyjny. Od Pstrąga-Bieleńskiego mam ze dwa listy. W Niemczech było też wydawane pismo Pogląd, które miało dużą sympatię do KPN-u.

- A w Szwecji? W Norwegii? Gauza, Strzyżewski? Kleban?

- Te nazwiska mi coś mówią, ale nie wiem, na ile ja z nimi korespondowałem. Ale z żadnym z nich się nie spotkałem i nie rozmawiałem bezpośrednio. Raczej unikałem tego typu spotkań, wiedząc, ze z całą pewnością depcze mi zawsze po piętach jakiś ogon. Zresztą nie pomyliłem się, o czym świadczy aresztowanie tego sekretarza z ambasady. Działania służb specjalnych francuskich są bardzo delikatne. Oni nikogo nie werbują, ale obserwują dokładnie podejrzanych ludzi.

- Francuzi jakieś informacji Panu przekazywali?

- Nawet dużo. Dużo im zawdzięczam. Cała sprawa przygotowania wizyty Jaruzelskiego we Francji - to omawialiśmy szczegółowo. Bo na prośbę służb francuskich była manifestacja pod oknami francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych w monecie, gdy przedstawiciel PRL przyjechał omawiać szczegóły wizyty Jaruzelskiego. Francuzi się tłumaczyli, że nie mogą oficjalnie przyjmować Jaruzelskiego, bo nie chcą u siebie rewolucji. Wtedy przez okno wyjrzał przedstawiciel polskiego rządu i stwierdził, że rzeczywiście, że Jaruzelskiego trzeba przyjąć bardziej prywatnie, niż oficjalnie.

- Francuzi prosili KPN, żeby zorganizował pod flagą Solidarności demonstrację przed wizytą Jaruzelskiego w Paryżu?!

- Tam nie były flagi Solidarności tylko transparenty, np.: „Żądamy uwolnienia więźniów!", dużo krzyków. Japońscy turyści to fotografowali – bardziej takie przedstawienie. Ale udało się.

- A miał Pan jeszcze jakieś kontakty z francuskimi służbami?

- Francuskie służby działają inaczej, niż to przedstawiają filmy. Te kontakty są takie, że ktoś nagle przychodzi do redakcji i mówi, że ma ciekawe materiały. Albo ktoś inny mówi, że chce się coś dowiedzieć i przeprowadzić wywiad tak, jak pan ze mną i trudno wtedy jest się zapytać – „A od kogo pan przyszedł?". A po drugie - wystarczy mieć na podsłuchu taką osobę, jak ja i wystarczy słuchać tego, co ona pisze i mówi, i można z tego dużo się dowiedzieć. Nie trzeba wzywać mnie na przesłuchanie i mnie werbować, bo to wiąże się z kosztami. A jeżeli ja to robię i w pewnym momencie wydział finansowy mnie kontroluje... To jest takie delikatne. W którym momencie i kiedy Francuzi interesowali się tym, co ja myślę i mówię, to trudno mi jest powiedzieć. Ale to było, bo to jest niemożliwe, żeby oni zostawili mnie tak spokojnie.

- Jeszcze zapytam pana o ludzi ze starej emigracji. Jerzy Mond – czy miał pan z nim jakiś kontakt.

- Bardzo dobrze go znałem, bo on był szefem Towarzystwa Historyczno-Literackiego przy Bibliotece Polskiej. On był w ostrej wojnie z Tadeuszem Brzostkiem. Ile razy się spotkali, to Brzostek wykrzykiwał, że agent służb penetruje nasze środowisko. Mond się tłumaczył, że nie był żadnym agentem. Ludzie pocieszali Brzostka i pocieszali Monda. Mond sympatycznie odnosił się do tego, co ja robię. Nawet swego czasu powiedział mi, że załatwi wznowienie książki, która ja wydałem, autorstwa pani Zdziarskiej-Zaleskiej To jest bardzo zamożna rodzina, która miała bank. Ona była adiutantką generała Weyganda w okresie, gdy Weygand doradzał Piłsudskiemu. Ona znała te wszystkie historie z pierwszej ręki. Napisała wspomnienia, które chciała wydać. Ja jej to wydałem. Mond powiedział, że byłoby szkoda, żeby to było wydane tylko we Francji w małym nakładzie i planował wydanie tej książki w Polsce. I to się udało. On miał kontakty z wydawcami w

Polsce. Drugą książkę, którą Mond pośredniczył to była książka pana Kowaliczko – dyrektora radia RFI. Bardzo ciekawa postać. Żołnierz Brygady Strzelców Podhalańskich, internowany we Francji… Podawał dużo szczegółów na temat obozów internowania na południu Francji.

Mond starał się unikać polityki. Twierdził, że bardziej jest zainteresowany biblioteką, literaturą. Twierdził, że bardziej jest literatem niż politykiem.

Dobrze też poznałem jego córkę – panią Kwiatkowską-Viatteau. Ona wydała książkę o Katyniu po francusku. Gdzie wspominała o tym, że środowisko KPN-u dużo o mówiło o Katyniu...

- A spotkał się Pan z takimi nazwiskami, jak Lis-Jarnicki, Rolewicz?

- Lis-Jarnicki – nie. Rolewicz – gdzieś słyszałem to nazwisko…

- A Muzyczka?

- To nazwisko coś mi mówi, ale nie kojarzę kontekstu.

Rozmawiał i opatrzył przypisami - Mirosław Lewandowski